

Miałem wówczas dwanaście a może nawet już czternaście lat. Od niedawna mieszkaliśmy w nowym, wspaniałym bloku mieszkalnym, pierwszym czteropiętrowym budynku powstałym na pustym terenie, w miejscu gdzie dopiero rozpoczynała się budowa nowoczesnego osiedla mieszkaniowego o nazwie Piaskowa Góra. Nazwa tego terenu została po Niemcach, przed wojną tę dzielnicę miasta nazywano Sandberg. Nowego osiedla oczywiście wtedy jeszcze nie było.

W latach sześćdziesiątych dopiero rozpoczynano tę wielką budowę, zaplanowaną na polach po lewej stronie ulicy Wrocławskiej, za ważną dla nas „Hutą Karol”; tam pracował ojciec. Kiedy się tam przeprowadziliśmy zbudowano dopiero dwa duże, czteroklatkowe i czteropiętrowe bloki, oraz szereg niewielkich domków jednorodzinnych, rozstawionych wzdłuż trzech pierwszych ulic osiedla. Ulice nosiły dumne nazwy. Była ulica Tysiąclecia Państwa Polskiego, w skrócie zwana przez mieszkańców ulicą Tysiąclecia oraz ulica Piętnastolecia PRL, dla mieszkańców będąca po prostu ulicą Piętnastolecia. Te pierwsze bloki mieszkalne powstały przy ulicy Mieszka I, tworzącej pętlę odchodzącą w bok od ulicy Piętnastolecia. Wokół trwała typowa budowa: wykopy, nasypy, składowiska żelbetowych prefabrykatów i innych materiałów budowlanych - jednym słowem krajobraz nieco księżycowy.

Mieszkaliśmy na parterze. Mieliśmy tam luksusy, o jakich nie śniliśmy w ciasnym pokoju z kuchnią, wynajmowanym na przedmieściach Wałbrzycha. Przedpokój, trzy pokoje plus kuchnia i łazienka, to był raj - przynajmniej na początku. Duże okna, mnóstwo światła, na podłogach zielone płytki pcw a nie stare dechy, które wciąż trzeba było szorować i centralne ogrzewanie a nie piec kaflowy. Do tego mały balkonik i łazienka. Co z tego, że mała i wąska, ale mieściła się tam wanna i miejsce na pralkę. Już nie trzeba było myć się w misce. Do tego każde mieszkanie miało własną komórkę w piwnicach. Ostatnio zastanawiałem się, czym różnią się dzisiejsze osiedla mieszkaniowe o tych z lat sześćdziesiątych. Już wiem! - Wtedy wszędzie było mnóstwo dzieci. To był przecież powojenny wyż demograficzny. Piłka nożna, rowery, najrozmaitsze wspólne gry i zabawy, wyprawy do lasu lub zbieranie złomu a do tego szkoła - też nowa „tysiąclatka” wybudowana w bliskim sąsiedztwie, to nam wypełniało wszystkie dni, od rana do wieczora.

W bloku były cztery klatki schodowe, w każdej klatce 10 mieszkań, po dwa na każdej kondygnacji. Jak już powiedziałem, my mieszkaliśmy na parterze. Obok mieszkało bardzo spokojne małżeństwo; pamiętam tylko, że byli zapalonymi grzybiarzami. Uczyli mnie jak rozpoznawać różne gatunki grzybów. Ludzie żyli jakoś bardziej gromadnie, choć bez zbytniej poufałości, zachowywało się pewien dystans. Ludzie się znali, pozdrawiali i rozmawiali ze sobą. Nie wywyższali się, nie udawali, że się nie widzą, w końcu wszyscy byli jeszcze niezbyt zamożni. Nie będę opisywał wszystkich sąsiadów, choć znalazły się tam naprawdę ciekawe typy. To był przekrój społeczeństwa polskiego tamtych lat. W jednym bloku mieszkali przedstawiciele „klasy robotniczej” i „inteligencji pracującej”. Wśród sąsiadów był dyrektor ekonomiczny dużego przedsiębiorstwa, lekarz, milicjant, księgowa, nauczyciele a także hutnik, murarz, szewc a nawet piekarz.

W naszej bramie na drugim piętrze mieszkała pani, którą z daleka poznawało się po unoszącym się wokół niej zapachu silnych perfum. Zwracała na siebie uwagę, szczególnie panów. Zawsze była wystrojona, ze starannie ułożoną fryzurą, nigdy nie widziałem jej w fartuchu kuchennym, czy w zwykłych codziennych ubraniach. Prenumerowała czasopisma „Film” i „Panoramę”. Za to jej mąż był najcichszym człowiekiem na świecie, skromniutki, zawsze szybko przemykał po schodach do domu. Nad nami mieszkała rodzina, która mocno grała ojcu na nerwach. Pan mąż w dniu wypłaty regularnie urządził w domu awantury, żona nie miała nic do gadania, do tego mieli jeszcze małe dziecko, które

usypiali w jakiejś dziwnej, drewnianej kotłyszce, której ruchy doskonale słyszeliśmy w całym, naszym mieszkaniu. Nas ta kotłyszka nie usypiała, działała wręcz odwrotnie.

Po drugiej stronie na pierwszym piętrze mieszkał pan Kordus z żoną. Nie pamiętam nawet jego imienia. Pan Kordus był typem jedynym w swoim rodzaju, niepowtarzalnym. Nie chodzi tu o wygląd zewnętrzny, na pozór niczym szczególnym się nie wyróżniał. Wysoki, szczupły, wesoły, ale nie głośny. Często sobie pogwizdywał. Pamiętam sytuację, gdy pan Kordus malował swoje mieszkanie. Aby farba szybciej schła otworzył drzwi wejściowe do mieszkania i widziałem go stojącego okraciem na drewnianej, dwunożnej drabinie z pędzlem ławkowcem w ręku. Maczał ten pędzel w wiadrze wiszącym na drabinie i chlapał farbą po ścianach i suficie pogwizdując sobie przy tym wesoło. Kraciasta, flanelowa koszula i stare spodnie były całe zachlapane, ale twarz chroniła wysoka czapa wykonana ze złożonej gazety. W tej trójkątnej czapie, na drabinie z pędzlem w uniesionym ręku wyglądał jak Napoleon Bonaparte na obrazie Davida. Z zawodu był murarzem, ale gdy sytuacja tego wymagała równie dobrze mógł być tynkarzem, posadzkarzem i malarzem. W tamtych czasach to było typowe, każdy musiał umieć wykonać podstawowe czynności naprawcze. Ojciec pracował jako hutnik przy piecach, później jako stolarz, w końcu jako magazynier. Ale w domu czasem trzeba było być hydraulikiem, czasem elektrykiem a zdarzało się, że i szewcem. Mama była krawcową, więc w domu musiała być maszyna do szycia. W każdym domu były przeróżne podręczne narzędzia, nie tylko młotek i śrubokręt. Nierzadko były to prawdziwe, małe warsztaty. U nas też, i w mieszkaniu i w piwnicy były piły, młotki, gwoździe, smary, farby i kleje, nawet hebel i szewskie kopyto.

Pan Kordus pracował w przedsiębiorstwie państwowym (prywatnych przedsiębiorstw nie było, mogły być tylko małe, pomocnicze zakłady rzemieślnicze), w swoim wyuczonym zawodzie, właśnie jako murarz. Spotykając się z nim na korytarzu klatki schodowej ojciec zagadywał go czasami pytając, co aktualnie buduje. Odpowiadał, że posyłają go to tu, to tam, ale nie muruje niczego szczególnego. Rozmowy były krótkie, prawie zdawkowe, ale charakterystyczną cechą tych rozmów był zupełny brak przekleństw. Ojciec nie cierpiał przeklinania, uważał, że przekleństwami pomagają sobie tylko ludzie tępi, którzy dysponują bardzo ograniczonym zasobem słów. Wręcz uciekał od takich ludzi. On szkołę podstawową ukończył we Francji. Ukończył ją z bardzo dobrym wynikiem i język francuski znał doskonale. Języka polskiego nauczyli go rodzice - emigranci z podkrakowskiej wsi, którzy w domu rozmawiali po polsku. Po wojnie, pobudzony propagandą, samotnie wrócił pociągiem do Polski budować nowe państwo socjalistyczne. Znał język polski, ale w znacznej mierze był to język gwarowy, góralsko-krakowski. Właściwego, i tego codziennego i literackiego języka nauczył się sam, dzięki książkom które pochłaniał. Wtedy biblioteki były bardzo ważnymi i popularnymi instytucjami, istniały w każdym większym zakładzie pracy. Ponadto w każdej dzielnicy były również biblioteki miejskie.

Po pewnym czasie, na podstawie tych przypadkowych rozmów, ojciec zorientował się, że pan Kordus jest w pracy traktowany w nieco podobny sposób jak i on w swojej Hucie „Karol”. Obaj nie przepadali za zbytnią poufałością w stosunkach z kolegami w pracy. Nie należeli do partii, nie mieli więc z tego tytułu żadnych profitów czy ulg. Nie podlizywali się kierownikom, robili swoje, nie uczestniczyli w popijawach, nie stawiali wódki za każdą najdrobniejszą przysługę czy pomoc, nie donosili i nie „obrabiali” innych za ich plecami. To nie znaczy, że pan Kordus był abstynentem, nie - czasem popijał, ale raczej na wesoło, nigdy nie widziałem, żeby wtaczał się pijany do bramy. Ojciec go szanował. Zarówno on, jak i jego żona nie zajmowali się plotkami, nie przesiadywali też u sąsiadów. Mamie to się podobało, też nie lubiła zbytniego spoufalania się z sąsiadami, nie potrzebowała tego.

To między innymi pan Kordus zaraził mnie filatelistyką. Pewnego razu siedziałem na ławce przed bramą czekając na powrót ojca z pracy (mama wracała z pracy trochę później). Wypadły mi z planu jakieś lekcje, wróciłem do domu wcześniej a nie miałem kluczy od mieszkania. Pan Kordus miał urlop i zaprosił mnie do siebie. Jego żona poczęstowała mnie herbatą i ciastem, a pan Kordus spytał czy

miałbym ochotę obejrzeć jego zbiór znaczków pocztowych. To, co zobaczyłem zrobiło na mnie duże wrażenie. W porządnym szesnastokartkowym klaserze formatu A4 miał ułożone pocztowe znaczki uszeregowane alfabetycznie według nazw państw, z których pochodziły. Pamiętam znaczki z San Marino i z księstwa Luksemburg. Dzisiaj ten mój zachwyty może wydawać się śmiesznym, lecz trzeba pamiętać, że jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych żyliśmy w dziwnym, zamkniętym świecie. Szkoły organizowały wycieczki do strażnic WOP-u, gdzie pokazywano dzieciom zaorany pas ziemi biegnący wzdłuż granicy, patrolowany przez uzbrojonych żołnierzy z psami prowadzonymi na smyczy. Dla większości ludzi świat poza Polską był raczej niedostępny. Można się było porozumiewać z zagranicą jedynie listownie. Listy i kartki pocztowe były niezależnym, osobistym środkiem komunikowania się z rodziną lub znajomymi mieszkającymi za granicą. Myślę, że pan Kordus musiał mieć jakieś zagraniczne kontakty, bo miał znaczki z całej Europy, ba - nawet z Ameryki. Dał mi kilka podwójnych znaczków polskich i radzieckich, które stały się zalążkiem mojej dzisiejszej kolekcji, która obecnie z trudem mieści się w dwóch dużych szafach-witrynach. On też skierował mnie do sklepu filatelistycznego, jaki istniał w Wałbrzychu przez wiele lat przy Alei Wyzwolenia. Tam to dopiero były skarby; za jedną złotówkę można było zostać właścicielem znaczka pochodzącego z tajemniczych, dalekich kolonii afrykańskich.

Filatelistyczna pasja objęła wtedy prawie wszystkich dzieciaków. Wszyscy mieliśmy klasery, spotykaliśmy się na podwórkach, gdzie dokonywaliśmy wielkich transakcji wymiany swoich walorów. Na przykład, za serię z polskimi ratuszami można było dostać od kolegi serię znaczków radzieckich z kosmonautami lub wojennymi bohaterami Związku Radzieckiego. Pojawiły się też znaczki z „bratnich państw demokracji ludowej”; było ich coraz więcej. Dorośli mogli sobie pozwolić na zakup abonamentu w sklepie filatelistycznym. Otrzymywali wtedy regularnie wszystkie znaczki wydawane w kraju, którego wydawnictwa pocztowe z góry opłacili. Nam, dzieciakom z podwórka, pozostawała wymiana albo bardzo drobne, pojedyncze zakupy znaczków w tym słynnym sklepie, w centrum Wałbrzycha.

Któregoś dnia pan Kordus, przypadkowo spotkany przed wejściem do bramy, mimochodem powiedział ojcu, że ma wreszcie ciekawą, całkowicie samodzielną pracę. Miał za zadanie wraz z jednym pomocnikiem, wznieść według otrzymanych planów niewielką budowlę, położoną w sąsiedztwie starego, niemieckiego cmentarza na Piaskowej Górze. Znałem to miejsce, przechodziłem tamtędy wielokrotnie ponieważ była to droga prowadząca na nasz ogród działkowy, znajdujący się przy ulicy Prostopadłej. Tu konieczna jest mała dygresja.

Kiedy mieszkaliśmy jeszcze na ówczesnych obrzeżach Wałbrzycha, przy ulicy Ogrodowej, mieliśmy tam także ogród i kawałek pola w ramach powszechnych wtedy zakładowych ogrodów działkowych. Po przeprowadzce do nowego mieszkania ogród oddaliśmy, ale działkę jeszcze przez pewien czas ojciec mógł uprawiać. U niego jakoś ciągle walczyły ze sobą geny robotnicze i chłopskie (czasem wtrącały się do tego jeszcze geny artystyczne). Potrafił prawie codziennie, po ośmiu godzinach pracy, zaraz po obiedzie lecieć przez rozkopaną budowlę, przez puste pola i przez wąwóz kolejowy na swoją działkę. Sadził tam ziemniaki, marchew, fasolę i cebulę i do tego kwiaty - astry i mieczyki, czyli gladiole. Kiedy tych kwiatów było naprawdę dużo dostawałem dwa wiadra z mieczykami i maszerowałem pod pawilony sklepowe wybudowane „na górze” ulicy Mieszka I, gdzie sprzedawałem je na sztuki. Mogę często, nawet bezwiednie używać określeń: na górze, w dole, na wierzchołku lub w wąwozie - proszę mi wybaczyć, to już taka wałbrzyska specyfika - tu nie ma płaskich miejsc, wszystko wznosi się lub opada. Ojciec chętnie zaprzęgałby do pracy na działce także mnie i brata, ale dziwnym trafem zawsze, kiedy się tam udawał bardzo trudno było nas znaleźć.

Gdy i tamte tereny przeznaczono także pod nowe zabudowania, zamiast działki ojciec dostał ogród przy ulicy Prostopadłej, w sąsiedztwie boiska „Czarnych”. „Czarni” to była drużyna piłkarska Huty „Karol”. Tam, to znaczy do ogrodu, chodziliśmy już dużo chętniej, w ogrodzie było o wiele mniej pracy a

znacznie więcej przyjemności. Były drzewa owocowe (jabłonie, wiśnie i dwie duże czereśnie, po których skakałem jak małpa), pomidory, porzeczki i truskawki. Można było też posiedzieć w spokoju i poczytać, szczególnie, gdy wraz z ojcem sklecieliśmy całkiem porządną altanę, nazywaną przez nas po prostu „buda”. Ale to było już kilka lat później.

W czasie, gdy pan Kordus rozpoczynał budowę swego dzieła, wakacje spędzałem w domu, robiąc jedynie krótkie wycieczki wraz z bratem po okolicy lub przesiadując w ogrodzie. Schodząc w dół ulicą Tysiąclecia, tuż za ostatnim domem istniała niewielka łączka, którą się przecinało, aby skrócić sobie drogę omijając skrzyżowanie z ulicą Główną. Tuż za tą łączką, po prawej stronie ulicy Główniej, sięgając prawie do samej ulicy Wrocławskiej, rozciągał się stary, niemiecki cmentarz.

Cmentarz od lat niszczał. Niemieckich rodzin, które mogłyby opiekować się grobami już nie było. Autochtonów pozostało niewielu. Dawny kościół ewangelicki przy ulicy Odlewniczej przejęli katolicy; to obecny kościół świętego Józefa Robotnika, więc nikt już nie dbał o ten cmentarz. Groby niszczały, zapadały się, tylko drzewa i krzewy rozrosły się do wielkich rozmiarów. Były tam piękne czarne sosny i typowe dla cmentarzy żywotniki. Lecz krzewy rosły sobie samopas, nikt o nie dbał, alejki zarastały. Stopniowo usuwano groby, znikaly czarne płyty marmurowe z napisami w gotyckim stylu. Na wolnych placach porośniętych trawą młodzież opalała się leżąc tam latem na kocach a w ustronnych kątach pijackowie urządzali sobie czasami popijawy.

To na tej łączce przed cmentarzem Pan Kordus, tylko ze swoim pomocnikiem, najpierw zaszalował i wybetonował fundamenty, po czym zaczął wznosić ceglane mury. Miał tam święty spokój. Po drugiej stronie ulicy Główniej biegła prostopadła do niej mała uliczka, powyżej której też zaczęto budować niewielkie osiedle domów jednorodzinnych, angażując do pracy wielu ludzi. Obok, przy tej uliczce mieściło się więzienie ogrodzone wysokim betonowym płotem i drutem kolczastym. W narożnikach ogrodzenia stały wieże strażnicze z wartownikami kontrolującymi z góry baraki więźniów. Więźniowie z tej placówki byli wykorzystywani do pracy przy budowie osiedla. Niezbyt przykładali się do pracy, czemu nie można się specjalnie dziwić. Często wybuchały zatargi, musieli interweniować strażnicy. A tuż obok, po drugiej stronie ulicy, pan Kordus na swojej budowie miał idealny spokój i sam się tam rządził. Sam sobie organizował czas pracy i przerwy na posiłki. Nie ponaglano go, nie straszono karami, najwidoczniej nie była to priorytetowa budowla, nie chodziło przecież o jak najszybsze oddanie kolejnych mieszkań. Ale nie chciał nam zdradzić, co takiego buduje. Widywaliśmy go dość często w drodze do ogrodu i z powrotem, zwykle w swojej napoleońskiej, gazetowej czapie, układającego kielnią zaprawę pod kolejne warstwy cegieł. Budowla pana Kordusa przybierała coraz dziwniejsze i ciekawsze kształty.

Pewnego dnia osiedlowe plotki doniosły, że Kordusowie będą się wyprowadzać. Szkoda, trochę się do nich przyzwyczailiśmy a nie wiadomo było kto zajmie ich miejsce. Żałowałem, że nie będę mógł pokazywać mu swoich zdobyczy filatelistycznych. Wyjeżdżali chyba gdzieś dalej, być może za granicę, bo pan Kordus sprzedał lub oddał sąsiadom większość mebli. Ojciec oczywiście niczego nie chciał. Dla mnie pan Kordus miał niezwykłą pamiątkę - zostawił mi swoje znaczki pocztowe. Nie chciałem ich przyjąć, ale przekonał mnie, że w innym, mniejszym klasersze zebrał najcenniejsze znaczki, które zabierze do nowego domu, a dla tych nie ma już miejsca. Powiedział też, iż wie że przekazuje je komuś, kto będzie się nimi cieszyć. To prawda, ucieszyłem się bardzo, byłem dumny mogąc pochwalić się kolegom swoją mocno wzbogaconą kolekcją.

Tak, jak spokojnie mieszkali, tak i spokojnie wyjechali. I być może szybko zapomnielibyśmy o nich, gdyby nie słynna budowla pana Kordusa. Zdążył ukończyć ją przed wyjazdem. Okazało się, że ten dziwny, zaokrąglony w narożach obiekt, z ciekawym, ukośnie nachylonym dachem, mieści po prostu duży miejski szalet, z osobnymi wejściami dla pań i dla panów. Został oddany do użytku kilka dni po

wyjeździe budowniczego, dlatego ojciec nazwał go żartobliwie Pomnikiem Kordusa - dzięki niemu zapamiętaliśmy naszego sąsiada.

Przez szereg lat udając się do ogrodu, mijaliśmy ten budynek wielokrotnie przechodząc obok tam i z powrotem. Położony był dokładnie w połowie drogi z domu do ogrodu. Od tamtych czasów minęło wiele lat. Nie żyją już moi rodzice, ja nie mieszkam w Wałbrzychu, ale wiem, że Pomnik Kordusa się zachował. Często przejeżdżam przez Piaskową Górę. Ulica Główna jest nadal jedną z głównych ulic tego osiedla. Przejeżdżając tą ulicą zawsze spoglądam w stronę obiektu zbudowanego przez pana Kordusa. Oczywiście bardzo się zmienił - ale jest! Po kilku latach funkcjonowania jako miejski szalet, budynek został zamknięty i powoli niszczał. Na szczęście znaleźli się ludzie, którzy postanowili przebudować obiekt i przeznaczyć go do zupełnie innych funkcji. Powstała restauracja „Ziemiańska”, która z powodzeniem funkcjonowała przez kilka czy kilkanaście lat. Restauracja nie miała już sąsiedztwa cmentarza i więzienia. Na terenie cmentarza powstał piękny park z zabytkowym starodrzewem i plenerowymi rzeźbami, a w miejscu dawnego więzienia istnieje dzisiaj ładny zespół domków jednorodzinnych i komisariat policji. Dalej, aż do ulicy Wrocławskiej sięga zadbane, zielony Skwer Sybiraków (tylko starsi Wałbrzyskanie pamiętają, że skwer ten został urządzony na terenie dawnego wysypiska odpadów z Huty Szkła „Lustrzanka”). Pomimo dobrej lokalizacji, co najmniej od kilku lat nie ma już też restauracji. Obecnie w budynku mieści się Pizzeria „Italia”.

Ludzie starają się zaistnieć różnymi sposobami. Są tacy, którzy tworzą rzeczy materialne i tacy, którzy tworzą dzieła niematerialne. Wszyscy, bez względu na to czy zdają sobie z tego sprawę, czy też nie, coś po sobie pozostawiają. Następcy, kolejne pokolenia albo wdzięcznie przyjmują te otrzymane dary, czasem je udoskonalając i rozbudowując, albo też wrzucają do kosza, likwidują i burzą, uważając je za niedobre, przestarzałe i błędne. Pan Kordus miał szczęście - jego pomnik wciąż stoi i nadal służy ludziom, choć w trochę inny sposób niż to było na początku.

Sierpień 2022